

EMILY HENRY

Powieść autorki bestsellera

BEACH READ

HAPPY PLACE



EMILY HENRY

HAPPY PLACE

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Happy Place

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczynie: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Beata Wójcik

Opracowanie graficzne okładki: Ewa Popławska

Projekt okładki: Alison Cnockaert

DTP: pagegraph.pl

Happy Place

Copyright © 2023 by Emily Henry

All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Fabianowska, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-480-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo

| www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Moje szczęśliwe miejsce Knott's Harbor, Maine

Domek na skalistym wybrzeżu z fasadą z sękatych sosnowych desek i niemal zawsze otwartymi oknami. Woń igłaków, słona woń, niesiona bryzą i białe lniane zasłony, leniwie tańczące na wietrze. Bulgotanie ekspresu do kawy i pierwszy, głęboki haust chłodnego, oceanicznego powietrza, kiedy wychodzimy na kamienne patio z parującymi kubkami w dłoniach.

Moje przyjaciółki: smukła Sabrina o miodowych włosach oraz lekko nieobecna Cleo ze srebrnym kolczykiem w nosie i głową całą w warkoczyczkach z kolorowymi końcówkami. Moje dwie najukochańsze osoby na całej planecie od czasu, kiedy poznałyśmy się na pierwszym roku Mattingly College.

Ciągle jeszcze się dziwię, że nie wpadłyśmy na siebie same, tylko musiał nas połączyć jakiś nudny komitet studencki zajmujący się przydziałem pokoi w akademiku w Vermont. Tak jakoś się składa, że najważniejsze przyjaźnie

mojego życia były wypadkową czyichś decyzji. Nawet sobie żartowałyśmy, że naszymi losami rządzi jakiś rządowy eksperyment. Oficjalnie nic nas nie powinno łączyć.

Sabrina była rodowitą manhattańską dziedziczką, ubierającą się w klasycznym stylu Audrey Hepburn i mającą regały wypełnione powieściami Kinga. Cleo była malarką, córką średnio znanego producenta muzycznego i bardzo znanej eseistki. Dorastała w Nowym Orleanie, a do Mattingly przychodziła w pochłapanym farbami kombinezonie i starych martensach.

No i ja, dziewczyna z południa Indiany, córka nauczyciela i recepcjonistki z kliniki stomatologicznej. Trafiłam do Mattingly, bo ta mała prestiżowa akademia sztuk wyzwolonych oferowała najlepszy system stypendialny, co było istotne dla studentki kursu przygotowującego do egzaminów na medycynę, która następną dekadę swojego życia zamierzała poświęcić nauce.

Już pierwszej nocy, kiedy zamieszkałyśmy razem, Sabrina usadziła nas na swoim łóżku i oglądałyśmy *Słodkie zmartwienie* na jej laptopie, jedząc dobrze zbilansowany mix popcornu i gumowatych żelków w kształcie robaków. Pod koniec pierwszego tygodnia zamówiła dla nas indywidualnie zaprojektowane koszulki, zainspirowane przez nasz pierwszy prywatny żart.

Sabrina miała napis: „Dziewica, która nie prowadzi”.

Ja: „Dziewica, która prowadzi”.

I Cleo: „Nie dziewczyna, ale prowadzi jak szatan”.

Nosiłyśmy je non stop, ale tylko w dormitorium.

Uwielbiałam nasz zatęchły pokój w odrapanym budynku z białym sidingiem. Uwielbiałam wąsać się ze swoimi przyjaciółkami po polach i lasach otaczających kampus.

Kochałam pierwszy dzień jesieni, kiedy można było jeszcze uczyć się przy otwartych oknach, pijąc wonną herbatę albo kawę bezkofeinową z syropem klonowym i wdychając woń opadających z drzew liści. Uwielbiałam akt przedstawiający mnie i Sabrinę, który Cleo namalowała na zaliczenie w klasie rysunku i powiesiła nad drzwiami naszego pokoju tak, że jego widok żegnał nas, kiedy wychodziłyśmy na zajęcia. Z obu stron obrazu przykleiłyśmy taśmą zdjęcia z polaroida przedstawiające naszą trójkę na imprezach, piknikach i w kawiarniach w mieście.

Lubiłam patrzeć na Cleo zatopioną w twórczej pracy, z warkoczykami związanymi neonowo zieloną gumką, śmierdzącą terpentyną. Lubiłam, jak Sabrina odrzucała głowę do tyłu w napadzie chichotu, skopując z nóg lordsy w stylu Grace Kelly, gdy przeczytała coś szczególnie śmiesznego. Uwielbiałam ślęczeć nad podręcznikami do biologii i wypisywać kolejne fluorescencyjne mazaki, bo wszystko wydawało mi się ważne i warte podkreślenia – zamiast sprzątać pokój, kiedy przypadał mój dyżur.

Ale w końcu każda cisza pękała i zaśmiewałyśmy się jak dzikie z wiadomości od nowej, rojującej dziewczyny Cleo, albo piszczaliśmy ze strachu, zerkając przez palce na krwawe horrory, które serwowała nam Sabrina.

Byłyśmy głośne. Nigdy dotąd nie byłam tak głośna. Wychowałam się w cichym, spokojnym domu, gdzie krzyk rozlegał się tylko wtedy, kiedy moja siostra pojawiała się z nowym kolczykiem w nieakceptowalnym miejscu albo z nową sympatią, albo z jednym i drugim. Po krzyku zwykle zapadała jeszcze głębsza cisza, więc zatykałam uszy, żeby nie słyszeć tego kontrastu, bo nienawidziłam ciszy i napawała mnie ona lękiem.

Ukochane przyjaciółki nauczyły mnie nowego rodzaju ciszy – pełnej spokoju, jaki wynika z poczucia, iż znamy się i rozumiemy tak dobrze, że nie trzeba ciągle wypełniać pustki słowami. A także nowego rodzaju hałaśliwości, kiedy głośno, spontanicznie wyrażało się zachwyty nad samym faktem istnienia – tu i teraz.

Jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa i zachwycona wszystkim, co mnie otacza.

Tak było, dopóki Sabrina nie ściągnęła nas tutaj, do letniego domu swojej rodziny na wybrzeżu Maine. I dopóki nie poznałam Wyna.

2

W realu Poniedziałek

„Myśl o swoim szczęśliwym miejscu” – poucza mądry głos w mojej głowie.

„Wyobraź je sobie”. Lśniąca, błękitna toń zdaje się obmywać mi oczy.

„Jak ono pachnie?” Mokrymi skałami, słoną bryzą, masłem, skwierczącym w rondlu i kroplą soku cytrynowego na czubku języka.

„Co słyszysz?” Śmiech, uderzenia fal o skałę, syk odpływu cofającego się po piasku i kamieniach.

„Co czujesz?” Wszechobecne słońce. Nie tylko na swoich nagich ramionach i na czubku głowy, lecz także we mnie – totalne ciepło, które cię ogarnia, kiedy znajdziesz się we właściwym miejscu, w towarzystwie właściwych ludzi.

Samolot schodzi do lądowania, biorąc kolejny ostry skręt. Lekko sztywnieję i zaciskam palce na podłokietnikach. W zasadzie nie boję się latać, ale na to konkretne lotnisko

zawsze lecę małym samolotem, który wygląda, jakby zrobiono go z posklejanego taśmą złomu.

Nagranie z apki medytacyjnej skończyło się w najmniej pożądanym momencie, więc dodaję sobie otuchy, powtarzając: „Myśl o swoim szczęśliwym miejscu, Harriet”. Podnoszę zasłonkę w okienku. Serce mi drży z zachwytu na widok wspaniałego przestworu nieba. Wyobraźnia nie ma tutaj nic do roboty. Mam listę miejsc i wspomnień, które zawsze przywołuję, gdy chcę się uspokoić, jednak to jest zdecydowanie na jej szczycie.

Wiem, że to działanie psychosomatyki, ale nagle się tam przenoszę, naprawdę. Słyszę przeciągłe krzyki krążących nad moją głową mew i czuję powiew bryzy we włosach. Rozkoszuję się łykiem zimnego piwa, smakiem dojrzałych jagód.

Za parę minut, po najdłuższym roku mojego życia, znów zobaczę swoich ulubionych ludzi i swoje najbardziej ulubione miejsce na świecie.

Koła samolotu podskakują na pasie startowym. Paru pasażerów z tyłu klaszcze, a ja zdejmuję słuchawki i niepokój rozwiewa się jak nasiona dmuchawca. Obok mnie siwiejący współpasażer, który przechrapał cały ten ryzykancki lot, budzi się, mrugając gwałtownie. Patrzy na mnie spod białych, kędzierzawych brwi i zagaduje:

– Na Festiwal Homara?

– Co roku jestem tam ze swoimi przyjaciółmi – odpowiadam.

Przytakuje.

– Nie widziałam ich od zeszłego lata – dodaję.

Odchrząkuje.

– Chodziliśmy razem do szkoły, ale teraz mieszkamy w różnych miejscach i trudno jest nam zgrać terminy.

Brak zainteresowania w jego spojrzeniu mówi wyraźnie: „Jedno pytanie i odpowiedź tak/nie”.

Uważam siebie za ideał współpasażerki. Wolę ryzykować zapalenie pęcherza, niż poprosić sąsiada, żeby wstał i mnie przepuścił. Mało tego, kiedyś nawet nie obudziłam człowieka, który zasnął na moim ramieniu, śliniąc mi ubranie. Potrafiłam popilnować komuś dziecka czy pierdzącego psa terapeutycznego. Wyjmowałam z uszu słuchawki, aby wysłuchiwać panów w średnim wieku, którzy czuli, że zginą, jeśli natychmiast nie opowiedzą mi historii swojego życia, oraz prosiłam stewardesę o papierową torbę dla nastolatka wracającego po wiosennych feriach, który siedział koło mnie i robił się coraz bardziej zielony. Dlatego od razu się orientuję, że ten facet kategorycznie sobie nie życzy, abym mu opowiedziała o swoim magicznym tygodniu z przyjaciółmi, ale jestem tak podekscytowana, że nie potrafię przestać. Muszę zagryzać usta, żeby nie wyśpiewać *Vacation*, hitu Go-Go's prosto w tę jego naburmuszoną gębę, kiedy w nieznośnie powolnym tempie wędrujemy do wyjścia.

Zabieram walizkę z rozklekotanego transportera i wreszcie wychodzę z budynku, czując się jak kobieta z reklamy tamponów: buzująca radością, olśniewająca, gotowa na każdą fizyczną aktywność, jak choćby kręgle z przyjaciółmi albo jazda na plecach nienachalnie urodziwego młodzieńca, którego wynajęłam, żeby odgrywał mojego chłopaka.


Jednym słowem: jestem szczęśliwa.


Myśl o tej chwili pomogła mi przetrwać wykańczające zmiany w szpitalu, a potem bezsenne noce, które się po nich zdarzały. W tygodniu, który mnie czeka, życie będzie wyborne jak białe wino czy homarowa kanapka, a ja będę się zaśmiewała do łez ze swoimi przyjaciółkami.




*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)